

Wszystko, co widzisz

• JOANNA PIECZONKA •

Dzień, w którym pojawiłam się na świecie, był dosyć zwyczajny. Zostałam stworzona przez dziecko na zajęciach plastycznych. Powołana do życia w chwili wakacyjnej nudy. Myślę, że mogłam gorzej trafić. Mogło mnie stworzyć jakieś beztalencie.

Skazać na życie z jedną nogą krótszą od drugiej i z upiornym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Nie jest więc źle. Warkocze mam długie. W warkoczach kokardki. Chustkę w kwiaty. Serdaczek. Kieckę. Kończyny symetryczne. Usta czerwoną szminką pociągnięte.

Jest tylko jeden problem. Mam zamknięte oczy. Dziewczynka postanowiła stworzyć mnie w pozie śpiącej.

Niepraktycznej dla kogoś, kto całe życie ma dopiero przed sobą.

Tak więc uszyła mnie ta dziewczynka, nadając na odchodne imię Krystianna i zostawiając samą. Z zamkniętymi oczami. Nie wiem, gdzie jestem. Nie wiem, co mnie czeka. Wiem tylko, że ciekawość we mnie ogromna. Przeczucie, że świat jest większy niż stół zawalony włóczką i elementami damskiej garderoby. Większy nawet od pracowni pachnącej drewnem i kurzem.

Otworzyłam więc drzwi i wyszłam temu światu naprzeciw.

Joanna Pieczonka pochodzi z Warszawy, ale z Kurpiami jest związana od urodzenia. Autorka i pedagożka. Laureatka nagród za teksty poświęcone Kurpiom. Angażuje się w działania społeczne i kulturalne na rzecz regionu. Wspólnie z dziećmi realizuje autorski projekt KURHORR.



KRYSTIANNA (ARCHIWUM PRYWATNE AUTORKI)

JAK USŁYSZAŁAM GŁOS JÓZEFA KŁOSA

Nie miałam pojęcia, w którą stronę się udać. Poniosły mnie kroki i rozmowy ludzi. Doprowadziły na przystanek PKS-u. Tak mi się przynajmniej wydało, bo słyszałam szuranie butów, pojękiwanie znudzonych dzieci, szelest foliowych toreb i hałas przejeżdżających samochodów. Czułam, że wszyscy na coś czekają i postanowiłam poczekać z nimi. To trwało chwilę. Nadjechał autobus, a gdy ludzie wokół rzucili się w kierunku drzwi, od razu zrozumiałam, że to, aby wejść do pojazdu, jest bardzo ważne. Zaczęłam przepychać się razem z innymi i po chwili uderzył mnie zapach benzyny, kurzu, potu i czegoś jeszcze, czego wtedy nie potrafiłam nazwać.

– Przepraszam – odezwałam się do osoby, która stała najbliżej mnie. – Dokąd jedzie ten autobus?

Odpowiedział mi męski głos.

– Do Myszyńca. A ty jesteś stąd?

– Raczej tak. Ale od niedawna.

Mężczyzna mruknął coś pod nosem, udał, że wie, o co chodzi. Musiał być zmęczony po całym dniu pracy. Być może liczył na to, że w podróży uda mu się trochę zdrzemnąć.

– Wiem, że wyglądam bardzo ładnie. Ta spódnica, te kokardy! Ale nie wiem, czy zauważyłeś, że jest we mnie coś osobliwego.

Pochyliłam się nad mężczyzną i szeptem dodałam:

– Moje oczy są zamknięte. Czy możesz opowiedzieć mi wszystko, co widzisz?

Być może spojrzał na mnie niechętnie; być może wydałam mu się dziwna, nawet jak na standardy prowincjonalnego PKS-u. Mężczyzna był zmęczony, ale najwyraźniej miał naturę życzliwą i łagodną. Najpierw opisał autobus. Ludzi wracających z pracy.

– Dużo żurawi. Krowy się pasą. Bociany spacerują.

– Wszystko kolorami się mieni?

– Tak, różne kolory. Rozlewiska wszędzie na polach. Kaczeńce w rowach. Maj teraz.

– Ładnie jest?

– Bardzo.

Opowiedział mi o Zalesiu. O ojcu i bracie. O drewnianym domu stojącym na przeciwko szkoły. O tym, że w szkole najbardziej lubił język polski i pisał długie wypracowania. Teraz została mu już tylko elektrociepłownia, czasem dorywcza praca w Myszyńcu i rozwożenie mleka. Nazywał się Józef Kłos.

W pewnym momencie mężczyzna zamilkł. Słuchać było tylko huk silnika autobusu i pochrapywanie innych pasażerów.

– Wiem, że umrę w grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku – powiedział w końcu. – Przygotowałem już nawet tablicę na grób, żeby brat nie miał później roboty. Na serce umrę. Wszystko już chyba wiem – dodał po chwili. – Będzie elektrociepłownia, mleko i od czasu do czasu jakieś malowanie.

– Przykro mi. Ja serce mam dopiero dwugodzinne.

Mężczyzna już nic nie odpowiedział. Może od upału, a może od zapachu benzyny, obydwoje zasnęliśmy. Obudził mnie głośny kobiecy głos i poszturchiwanie. Ciężkie powietrze i odgłosy pochrapywania zniknęły. Ktoś mówił do mnie, rozpaczliwie pomagając się uwagi.



„ŻADNA Z TYCH RZECZY NIE BYŁA PRAWDZIWA; NIC PRAWDZIWYM NIE BYŁO”
(„CZYN MŁODZIEŻY” NR 10/1926)

JAK USŁYSZAŁAM KRZYK KOBIETY Z ULICY ZDUNKOWSKIEJ

– Chodź do mnie, ja też coś ci opowiem! I nie jestem żadną plotkarą. Nie wciskam nosa w nie swoje sprawy, nie szukam sensacji. Jestem kronikarką. Zbieraczką historii tej ulicy, dokładnie tak, jak ty.

Oszołomił mnie potok słów i śpiewna kurpiowska intonacja. Poprosiłam:

– Opowiedz mi wszystko, co widziałaś.

Kobieta złapała mnie mocno za rękę. Może celowała w łokieć, ale trafiła na ten mój fragment, który zrobiony był ze ścierki.

– To był sierpień. Gorąca niedziela. Powietrze ciężkie. Burza szła. Dzieci biegały na bosaka. Msza się skończyła i ludzie wyszli z kościoła. I nagle ktoś krzyknął: „Piorun wpadł do domu w Starym Myszyńcu!”.

– Piorun wpadł do domu?

Kolejne słowo, którego znaczenia mogłam się jedynie domyślać. Kobieta odebrała to jednak jako wyraz niedowierzania, bo zawołała głośniejsze:

– Tak! Piorun wpadł do domu! W jednej izbie siedziała kobieta, która schroniła się przed burzą. W drugiej matka z dziećmi. Okno zostawili otwarte. Piorun wpadł i ich pozabijał. Tylko ta pierwsza kobieta przeżyła. Po mszy żeśmy pobiegli do Starego Myszyńca. Ludzie jeszcze dobrze z kościoła nie wyszli, a myśmy już biegli. Pięty dzieci uderzały o bruk. Mijaliśmy kapliczki. Furmanki. Koty na płotach. Bociany na polach. Pijalnię piwa też minęliśmy. I kilku pijaków, tych, co to jeszcze równowagę trzymało, też się do nas przyłączyło. Wiedzieliśmy wtedy, że jesteśmy u siebie. Bo cudze życie było też trochę naszym życiem. Właściwie kiedy już umarłam, długo zastanawiałam się, dlaczego akurat tę historię zapamiętałam najlepiej. Chyba już wiem.

– Przez piorun! – zawołałam.

– Chodziło o to, że wtedy biegliśmy wszyscy razem.



„WSZYSTKO BYŁO PRAWDZIWYM; NIEPOJĘCIE PRAWDZIWYM, NIESKOŃCZENIE DROGIM.”

(ARCHIWUM PRYWATNE J. KRAJZY)

JAK USŁYSZAŁAM PŁACZ DZIEWCZYNY Z CYKA

Jeszcze przez chwilę słysząc było uderzenia bosych stóp o ziemię i przyspieszone oddechy. Potem wszystkie te dźwięki stopniowo gasły, aż dało się z nich wyluskać odgłos przypominający ciche kwilenie.

– Czy ktoś tu płacze? – zapytałam.

– Tak – odparł kobiecy głos. – Dziewczyna z Cyka.

Nasłuchiwałam przez chwilę.

– Mam zamknięte oczy. Proszę mi opowiedzieć, co pani widzi.

– To panna młoda – powiedziała kobieta. – Czekamy tu w celi, aż wywiozą nas do Niemiec. Mnie ktoś wydał, że ukrywam się we wsi. Jestem Stefania Osowska. A ona... jeszcze dzieciak. Ma na sobie strój kurpiowski. Serdak, bursztyny, piękną spódnicę. Rodzice szykowali dziewczynę do ślubu, kiedy ją Niemcy zabrali sprzed domu.

Inny kobiecy głos dopowiedział prędko:

– Zabrali mnie od ojca i matki. Wsadzili na wóz i wieźli przez Czarnię. Widziałam moje lasy. Sosny i brzozy. Kobiety zbierające jagody.

Nie miałam pojęcia, czym są jagody, ale od razu spodobało mi się to słowo.

– Wszystko tam zostało – mówiła dalej dziewczyna. – A ja jedna zniknęłam.

Poczułam, że siedząca obok mnie pani Osowska zaczęła się kołysać, jak gdyby próbując się uspokoić.

– Płakała całą drogę i teraz też ciągle płacze.

– W ślubnym ubraniu przywieźli mnie do Myszyńca – ciągnęła dziewczyna. – Igły sosen z naszego podwórka przykleiły mi się do serdaka.

Dało się słyszeć poruszenie w kącie celi. Wydało się, jakby z cienia wyszło kilka kobiet. Wyobraziłam sobie ich eleganckie ubrania, palta i chustki. To, jak ściskają mocno torebki w dłoniach. Odchrząknęły i zaczęły śpiewać:

Wysła dziewczyna, wysła jedyna jako róży kwiat,

Ręce załamała, łocy zapłakała, zmienił jej się świat.

Cego ty płaczesz, cego lamentujesz, dziewczyno moja,

Jak jo ni mom płakać, ni mom lamentować, nie bede twoja.¹

Słyszałam wciąż jeszcze jeden dźwięk. Cichy i rytmiczny, przypominający skrobanie.

– Pani Osowska, co ta dziewczyna robi?

– Wyciąga z ubrania sosnowe igły. Siedzi pochylona nad ławką i jedna po drugiej wyjmuje je z serdaka i układa przed sobą. Igły z podwórka. Tyle jej z domu zostało.

¹ Fragment pieśni pod tytułem *Wysła dziewczyna, wysła jedyna*. Jej autorką – podobnie jak wszystkich utworów cytowanych w opowiadaniu – jest Waleria Żarnoch, polska śpiewaczka ludowa, poetka i gawędziarka z kurpiowskiej Puszczy Zielonej, uważana za jedną z najwybitniejszych śpiewaczek w historii polskiej muzyki tradycyjnej.



„TE ORAZ INNE RZECZY BYŁY ZRAZU NICZYM, UTAJONE W BEZKRESNYM BULIONIE ENERGII.”

(KURPIANKI Z KADZIDŁA; FOT: A. STELMACH W K. SAYSS-TOBICZYK. NA MAZOWSZU, NASZA KSIEGARNIA, WARSZAWA 1964)

JAK POCZUŁAM ZAPACH PERFUM ROZALII MAJEWSKIEJ

Pociągnęłam nosem. Nie czułam już zaduchu więziennej celi. Wręcz przeciwnie.

- Coś tu pięknie pachnie – powiedziałam do siebie.
- To perfumy – odparł dźwięczny kobiecy głos.
- Perfumy, ale i coś jeszcze, co pachnie jak lato.
- Ach, chodzi ci zapewne o siano. Miałam jechać porannym autobusem do Warszawy, ale zabrakło miejsca i jadę furmanką. I tak miałam szczęście. Często muszę iść pieszo. A tak dojadę do Ostrołęki i tam będę myśleć, co dalej.

Zaskoczyło mnie, że ktoś używa perfum przed podróżą furmanką.

- Opowiedz mi, co widzisz – poprosiłam.
- Teraz siedzimy na sianie. Ja wyglądam po prostu świetnie. Ty w zasadzie też. Jadę do Warszawy na handel. Jajka, masło, mięso. Obok mnie leży kurtka chłopięca, kobiece palto i kilka par spodni. Dalej jakieś papiery, dokumenty i moje torby, które zajmują połowę miejsca na wozie.
- Na handel?
- Żeby zarobić pieniądze. Po wsiach kupuję dolary i ubrania z Ameryki. Czasem jajka, czasem mięso, czasem masło. Wszystko potem wiezie się do miasta. Stolica jest głodna.

- I co widzisz, kiedy tak podróżujesz?
- Jak wracam z Warszawy na Kurpie, jadę przez Pułtusk, Różan i Ostrołkę. Od Ostrołki wiem już, że jestem u siebie. Pojawiają się sosny. Dylewo. Kadzidło. Wach. Długa droga. Odliczam po kolei.

Dylewo. Kadzidło. Wach. Wyobraziłam sobie, że to paciorki koralu, które można przesuwac palcami, odmierzając drogę do domu.

- A co widzisz, kiedy chodzisz po wsiach?
- Biedę. Dzieci wszędzie. Kobiety spracowane. Dużo ludzi w jednym domu. Gdzieś z tyłu rozległy się znajome szepty i pomruki.
- Kobiety, może zaśpiewamy tę pieśń o byśkach²? – zaproponował ktoś.

I po chwili huknęły:

Hola byśki, hola, wszystkie osiam z pola,
Loj, loj byziulki moje, wszystkie łosiam.
Posedł byziu pierwszy, boś mi był najmilszy.

- Czasem matki same przychodzą do mnie z tym, co mają – mówiła dalej kobieta. – Też muszą długo iść. Ale rodzinę trzeba za coś utrzymać.
- Słyszę fałsz z prawej strony – rzucił ktoś z dezaprobatą, ale nie zrobiło to na nikim większego wrażenia. Chór nucił dalej:

Posli byziu drugi, to zapłacis długi...
Posli byziu trzeci, chleba płacą dzieci...
Posli byziu czwarty, com cię przegrał w karty...
Posli byziu piąty, biedy pełne kąty...

² Tradycyjne figurki z ciasta wypiekane w rejonie Kurpiowskiej Puszczy Zielonej. Należą do najbardziej charakterystycznych przejawów kurpiowskiej sztuki ludowej.

Kobieta na chwilę zamilkła. Pomyślałam, że przygląda się pewnie piaszczystym drogom. Zagajnikom pełnym sosen. Drewnianym chatkom.

– Najgorzej kobietom, których mężowie piją. Czasem przepijają wszystko i trzeba chodzić po sąsiadach i pożyczać.

Urwała. Wydało mi się, że chce posłuchać śpiewu chóru.

– Jak idę sama przez las, długo jeszcze słyszę ich głosy w głowie.

Jechaliśmy jeszcze chwilę w ciszy. Słyszałam, jak kobieta mamrocze do siebie: Wach. Kadzidło. Dylewo. Za Dylewem zaczęła grzebać w torbach i szeleścić papierami. Być może były to właśnie te dolary. Szelest ucichł, a ona ścisnęła mocniej pasek swojej torby. Przynajmniej w ten sposób sobie to wyobrażam.



„LECC POTEM NAZWALIŚMY JE I POKOCHALI, WYWABIAJĄC TĄ MODĄ Z NIEBYTU.”
(ARCHIWUM PRYWATNE J. KRAJZY)

JAK USŁYSZAŁAM FURKOT SPÓDNICY CIOCI FRANI

– Hejku! – zawołałam. Poczułam znowu podmuch wiatru. Zapach perfum i siana gdzieś zniknął. – Czy my jesteśmy w powietrzu?

– Tak, unosimy się – odpowiedział nowy kobiecy głos. – Fruwamy, lalko.

Coś wyraźnie załopotало.

– Czy to skrzydła? – zapytałam bez zastanowienia.

– Nie, kochanie. To moja spódnica.

– A co widać, kiedy spojrzymy w dół?

– Widać wszystko.

– Wszystko?

– Tak. Widać moją wieś, Wydmusy. Widać las. A tam dalej Myszyniec.

– I ty tak ciągle się tutaj unosisz? – zdziwiłam się.

– Tak. Po wojnie była tu wszędzie straszna bieda. Pojechałam za braćmi na Ziemie Odzyskane. Aż do Szczecina. Brat napisał: „Dom pusty stoi. Można przyjeżdżać”. Napisał: „Na Kurpiach bieda i piaski. Tu lepiej”. Wyjechałam raz. A potem już do końca życia żyłam nie swoim życiem. Mój dom został tutaj. Gdzie piach, szyszki i sosny. Co mi z tych wszystkich urodzajnych ziem? Na co mi ten bruk i solidne, poniemieckie domy? Wiesz, mieszkamy tam na ziemiach zaraz koło kościoła. Czasem jest mi trochę smutno i proboszcz to widzi. Powiedział mi kiedyś: „Franiu, znajdź sobie codziennie jedną rzecz, dla której warto wyjść z domu”. No więc zamykam oczy. I wracam.

Leciałyśmy coraz niżej i niżej. Daję słowo, że poczułam, jak czubki sosen muskają moje stopy. Zapach lasu stał się bardziej intensywny.

– Wracam i patrzę na drogę we wsi. Na tę studnię. Na płot. Na wieżę kościoła.

Z dołu dochodziły głosy ludzi.

– Spójrz tam na dół.

– Przecież mam zamknięte oczy. Nie mogę spojrzeć.

– To sobie wyobraź. Znowu jestem dzieckiem. Jest niedziela. Matka stoi z kumami przy płocie. Ja siedzę na ławce i bawię się z kundelkiem Amikiem. Ma krzywe zęby i krótkie łapki. Oparcie ławki jest nagrzane od słońca. Pod palcami czuję grube ślady po pędzlu, którym dziadek nanosił farbę.

– I podoba ci się to wszystko?

– Nie, oczywiście, że nie wszystko – powiedziała ciepło. Być może nawet się uśmiechnęła.

– To wszystko, na co patrzę, krąży w moich żyłach. Z suchego zapachu lasu zbudowane są moje płuca. Moje włosy to wątłe żyto rosnące na piachu. A kolor mojej skóry to kolor tej ziemi. Nie ma sensu pytać, czy wszystko tutaj mi się podoba. To miejsce to jestem ja.



„A TERAZ MUSIMY JE UTRACIĆ.”
(POLSKA KRONIKA FILMOWA 70/28A)

JAK ZATRZYMAŁO MNIE MILCZENIE CIOTKI KULASOWEJ

Puściła moją rękę. Poczulałam, że spadam. Robiło się coraz zimniej i coraz ciszej. Wyraźnie zbliżałam się do ziemi. Pamiętajcie, że urodziłam się w pozycji leżącej i z zamkniętymi oczami. Cisza i ciemność to jedyna rzeczywistość, którą znam lepiej od was. Dlatego od razu wyczułam, że ktoś w tej ciemności się czai.

– Mieszkam przez całe życie w tym domu – odezwał się głos kobiecy.

– W którym?

– W tym tutaj, co stoi przed nami. Z gankiem i klombami wokół.

– Proszę pani, jest bardzo zimno. Może wejdziemy do środka? – spytałam.

– Niestety nie mogę. Próbowalam. Ten dom ode mnie ucieka.

Nie był to pierwszy dom, o którym mi opowiadano, ale żaden z wcześniejszych nie próbował uciekać przed swoim właścicielem.

– Wyszedłam w nocy za potrzebą, lalko. Poszłam za stodołę i chciałam wrócić do domu. Podeszłam do ganku, a on cofnął się przede mną. Spróbowałam raz jeszcze, a wtedy poręcz schodów uchyliła się przed moimi dłońmi i uskokczyła w bok. Pomyślałam, że podejdę od drugiej strony i zapukam w okno. W środku spała Marysia, moja wnuczka. Jej matka, Rozalia, handluje w Warszawie. Wzięłam dzieciaka na wychowanie. Córce nie jest łatwo.

– I Marysia usłyszała to stukanie?

– Nie, bo nie zdążyłam zastukać. Kiedy się odwróciłam, moja wiśnia, ta, co rośnie po lewej stronie, stanęła mi na drodze. Rozczapierzyła gałęzie i nie pozwoliła przejść. Próbowalam więc obejść ją z drugiej strony, ale wtedy klomby zaczęły wyrzucać mi kamienie pod nogi. Ktoś tknął mnie od tyłu i zachichotał, jak przy zabawie w berka. Studnia zamieniała się miejscami z ziemianką. A ta ławka, co ją tam widzisz, krążyła wokół mnie drobnymi podskokami. Cały ogród wirował, a ja traciłam siły i robiło mi się coraz zimniej.

– I co teraz zrobimy?

– Już nic nie da się zrobić. Rano Marysia znajdzie mnie zamarzniętą w ogrodzie. Będzie bardzo płakać. Ludzie powiedzą, że nie upilnowała swojej ślepej babki.

Kobieta poruszyła się. Pomyślałam, że może odwróciła twarz w kierunku domu. W stronę wnuczki. Przypuszczałam tak, bo zaraz powiedziała:

– Nie słuchaj ich, Marysiu. Już czas był na mnie.



„I TAK ŻEŚMY JECHALI W NOC, UŚPIONE DOMY RODAKÓW MIJAJĄC.”
(ZE ZBIORÓW POL. TOW. KRAJOZNAWCZEGO, W: F. PIAŚCIK, *OSADNICTWO
W PUSZCZY KURPIOWSKIEJ*, ZAKŁ. ARCHITEKTURY POLSKIEJ..., WARSZAWA 1939)

JAK DOBIEGŁ MNIE WRZASK TURYSTKI

W ciszę wdarł się hałas. Samochody. Silniki. Hamowanie. Otwieranie drzwi. Kroki ludzi.

– Boże, ile można siedzieć w sklepie? – wrzasnęła poirytowana kobieta. – Korek robi się coraz większy!

– Zaczepiła mnie jakaś lalka. Pytała, co widzę – odpowiedział mężczyzna.

Szybkie kroki na chodniku.

– I co jej odpowiedziałeś?

– Że nic! Nic tu nie ma.

JAK USŁYSZAŁAM MLASKANIE KIEROWCY TIRA

Zapach rozgrzanego asfaltu i benzyny wciąż unosił się w powietrzu, a już drugą warstwą kładł się nowy – tym razem była to woń gorącego tłuszczu i mocno przypalonego jedzenia.

– Czy stacja jest otwarta?

– Całodobówka – odpowiedział jakiś mężczyzna.

Stał obok mnie. Jadł głośno i w pośpiechu.

– Opowiedz mi, co widzisz – poprosiłam.

Mlaskanie ucichło, zaszeleścił papier. Pomyślałam, że mężczyzna wyciera usta chusteczką lub składa opakowanie po frytkach.

– Widzę ludzi próbujących przejść przez drogę – powiedział. – Rozbiegają się na wszystkie strony. Dużo billboardów. Skup gruzu, palet. Fryzjerstwo. Kosmetyka.

– Lubisz tędy jeździć? – spytałam.

– A gdzie tam! Wąsko. Korek na zakręcie, radar przy wyjeździe na Rozogi. Trzeba zwolnić, a trasa długa. Same mandaty człowiek łapie. Kiedyś było inaczej.

– Tak? A jak było kiedyś?

– Inaczej. No jakby... Noo, nie pamiętam już.

JAK POCZUŁAM ZAPACH CIEPŁEGO PIWA I POZNAŁAM BRACI ZYŚK

Miałam dosyć zapachu samochodów. Próbowałam przed nim uciec, skręcając w ulicę, na której panował większy spokój. Chyba weszłam na jakiś plac, znalazłam ławkę. Chciałam na niej usiąść i wtedy poczułam, że nogą strąciłam coś na ziemię. Usłyszałam dźwięk, który wydaje grube szkło, gdy uderza o ziemię, a zaraz po tym poczułam intensywny zapach. Przypominał woń siana, ale był nieco bardziej lepki.

– O kurczę! – jęknął jakiś mężczyzna.

– Całe piwko ci się wylało – zauważył drugi.

Gdybym tylko miała otwarte oczy, osobnicy, obok których usiadłam, z pewnością zrobiliby na mnie wrażenie. Byli to bracia Zyśk, o czym dowiedziałam się jakiś czas później. Ludzie mówili, że los obdarzył ich niemal identyczną posturą i urodą. Wyglądali jak bliźnięcy, pomimo dziesięciu lat różnicy wieku. Młody Zyśk miał ponoć jasne włosy, jasne oczy i haczykowaty nos. Stary Zyśk wyglądał z kolei jak ktoś, kto kiedyś miał jasne włosy, a jasne oczy i haczykowaty nos zachował do dziś. Do tego często ubierali się tak samo. Nie wiadomo, czy dlatego, że tak lubili, czy dlatego, że matka przez lata kupowała od razu dwie sztuki każdego ubrania.

Tego dnia, mimo wielkiego upału, mieli na sobie identyczne tureckie swetry w czarno-białe wzory. Sweter Młodego Zyska wyglądał ponoć, jakby został kupiony wczoraj, zaś sweter Starego wyglądał, jakby tamten nosił go przez ostatnie dziesięć lat.

Mężczyźni byli dziwni, dlatego mieszkańcy Myszyńca nie rwali się do zawierania z nimi znajomości. Panowie siedzieli więc na ławce w centrum miasteczka, gotowi obdarować przechodniów całym swoim wolnym czasem.

Wiem to teraz. Tamtego dnia byli dla mnie tylko zapachem ciepłego piwa.

– Opowiedzcie mi, co widzicie – poprosiłam.

Odezwał się młodszy głos:

– Chłopów w brązowych garniturach. W białych koszulach i czapkach. Kobity w chustkach. Procesje. Targowiska. Święte obrazki w oknach. Kościół widoczny z każdej strony miasta.

Stary Zyśk prychnął.

– Śmieci. Śmieci wszędzie. Łatanie wszystkiego byle czym. Biedę. Samotność starych ludzi.

– To potem – odparł młody głos z irytacją. – Teraz duchy. Wykrot. Zawodzie. Partyzanci. Duchy chłopaków na motorach. Pijalnie piwa. Budki z lodami.

– O czym ty gadasz? – mruknął Stary Zyśk. Dało się słyszeć, jak podnosi się z ławki.

– Nie ma już tego. Nie ma lasu na Zagajniku. Nie ma cienia. Nie ma gdzie się schować przed słońcem. Za to wszędzie są tiry.

– Tiry? – zapytałam.

– Tiry.

Usłyszałam znajome dźwięki i szmer rozmowy. Najwyraźniej kobiety z wozu znów były tu z nami. Coś zaszeleściło.

– Czy panowie wiedzą może, dlaczego te kobiety tak za mną chodzą i wciąż coś śpiewają?

– Bo chcą ci pomóc, lalko. One jeszcze słyszą pieśni tych, którzy byli tu przed tobą.

– A tamci? – wskazałam stację benzynową, skąd przed chwilą uciekłam.

Czułam, że Stary Zyśk odwrócił głowę w jej stronę.

- Tamci? Słyszałaś ten huk. Tam nie sposób nic usłyszeć.
- Która strona? – spytała jedna z kobiet z chóru. Ktoś podrzucił ton. Zaczęły śpiewać:

Proszę posłuchać, o wum zaśpiewum
O mojej puscy zielonej...³

Bracia zamyślili się.

Dziś o puscy zaginionej...

Pieśń zaczęła unosić się nad placem, nad ławkami, klombami i fontanną.

Kiedys wspaniała pusca zielona,
w niej się dziki chowały,
w sosnach wyniosłych tam sobie
pasiekę miały...

Wydaje mi się, że Stary Zyśk sięgnął wtedy po drugie piwo stojące pod ławką. Upił łyk. Był cicho, tak jakby próbował podążyć za pieśnią gdzieś daleko. Jego wzrok zdawał się biec za nią aż na skraj widzenia.

– I wtedy nagle, w niedzielne popołudnie, latem, w ciężkim i gorącym powietrzu, kiedy moja matka siedziała przed telewizorem, kierowca tira, który miał za sobą piętnaście godzin w trasie, źle wymanewrował na zakręcie. Wszystko rozbłysło. Huknęło. Kawałki drewna, telewizor, cerata, sztuczne kwiatki, Jezus puszczający oko i Święta Rodzina. Wszystko wystrzeliło w powietrze. Do nieba. A na ziemi został tir. Wielka maszyna stojąca pośrodku tego, co jeszcze chwilę wcześniej było pokojem mojej matki. To było szóstego sierpnia. W dzień Przemienienia Pańskiego.

Stary Zyśk zaśmiał się krótko. Nie było w tym nic wesołego.

– A moja stara matka spojrzała na to wszystko, schowała do torebki okulary, chustkę, maść kocią i książeczkę do nabożeństwa. I wyszła.

Ino psiosenka leśna kurpsiowska
w mojej pamięci została...

³ Cytaty z pieśni Walerii Żarnoch pod tytułem *Prose posłuchać, co wum zaśpiewum*.



„NIE, NIE, NIE, ZABIERZ OD MNIE TEN KIELICH PANIE, OBYM ODSZEDŁ PRZED
WSZYSTKIMI, KTÓRYCH KOCHAM.”
(ARCHIWUM PRYWATNE J. KRAJZY)

EPILOG

Byłam potwornie zmęczona. Od wszystkich rozmów i kurpiowskiej gwary rozbolała mnie głowa. Zaczęłam iść przed siebie, nie mając pomysłu, dokąd właściwie zmierzam. Dźwięk dzwonu powiedział mi, że jestem blisko kościoła. Odgłosy rozmów prowadzonych przez nieboszczyków uświadomiły, że mijam też cmentarz. Przechodząc obok jednej z duszyczek odpoczywających na ławce, spytałam, która jest godzina. Był środek nocy.

Szłam dalej. Wiedziałam, że dotarłam do bloku kolejowego i uznałam, że blaszane chlewki, które znajdowały się obok, będą dobrym miejscem na chwilę odpoczynku. Za chlewkami doszły mnie jednak na nowo odgłosy rozmów. Gdzieś tam musiał znajdować się jakiś duży dom. Pomyślałam, że chyba mam w sobie jeszcze dość siły na jedną, ostatnią historię.

Weszłam do środka. W domu panował gwar. W pierwszym pokoju grał telewizor. Dwóch mężczyzn prowadziło rozmowę. Rozpoznałam głos Józefa Kłosa.

– Lalko, co ty tu robisz? – spytał zaskoczony.

Nie wiedziałam, co właściwie robię w tym domu. Postanowiłam więc zignorować to pytanie. Obok znajdował się drugi pokój. Słychać było głosy dzieci i dźwięki płynące z telewizora. Leciła akurat jakaś dziecięca piosenka. Z kuchni dochodziły rozmowy grupy kobiet. Musiało ich być dużo. Mówiły jedna przez drugą.

– Dziewczynę z Cyka wywieźli do Niemiec. Całą drogę płakała – powiedziała Stefania Osowska.

– Wróciłam właśnie z Warszawy – poinformowała Rozalia Majewska.

– Marysia znalazła męża – uśmiechnęła się Kulasowa.

A ciocia Frania na to:

– Przyjechałam do ciebie, Stefcu. Pociągiem do Olsztyna, do Szczytna, potem do Spychowa, a na końcu kolejką do Myszyńca. Moje serce szalało z radości. Z każdą minutą byłam coraz bliżej.

Znowu te same, znajome dźwięki. Pochrząkiwania. Trzeszczenie krzeseł. Ktoś podrzucił ton. Chór zaczął śpiewać wraz z dziewczynką z telewizora:

To szkiełko wszystko potrafi,
na każde pytanie odpowie.
Wystarczy wziąć je do ręki
i wszystko będzie gotowe.

Po drugiej stronie korytarza znalazłam schody. Weszłam na górę. Wszystkie pokoje wydawały się puste, ale po chwili usłyszałam szelest kartek. Zaczęłam iść w kierunku, z którego dobiegał ów dźwięk. Usłyszałam czyjś oddech. Wyciągnęłam rękę i natrafiłam na czyjąś otwartą książkę.

Bo fantazja, fantazja, bo fantazja jest od tego,
aby bawić się, aby bawić się, aby bawić się na całego⁴.

Chór na dole nucił dalej.

⁴ Cytaty pochodzą z piosenki *Moja fantazja* zespołu Fasolki.

Nawet nie zauważam, gdy lalka wchodzi do pokoju. Jestem nastoletnią dziewczynką całkowicie pochłoniętą lekturą książki. Słyszę skrzypienie drzwi i myślę, że to mama przyszła odłożyć wyprasowane ubrania do szafy. Nie podnoszę więc wzroku znad lektury. Dopiero gdy lalka podchodzi bliżej i kładzie bawełnianą rączkę na książce, spoglądam na nią.

Warkocze. Kokardki. Chustka w kwiaty. Serdaczek. Kiecka. Symetryczne kończyny. Zamknięte oczy.

Wyczuwa, że przykuła moją uwagę, pochyla się i mówi:

– Opowiedz mi, co widzisz.

Podpisy pod zdjęciami są cytatami z książki George’a Saundersa pod tytułem *Lincoln w Bardo* (Znak, Kraków 2018).